

Okręty na bagnie

12 marca 2009

Firmy zwalniają. Również te, które latami były uważane za symbol przemian.

W kantynie „Gazety Wyborczej” podobno ograniczono menu. Śladem smacznych posiłków poszedł niejeden kojarzący się z jej łamami dziennikarz. Nie śmiej się dziadku z cudzego przypadku. Redukcje w firmach prywatnych zdążyły już podbić o kilka punktów – do niedawna utrzymujący się poniżej „bezpiecznych” 10% – wskaźnik bezrobocia. Podobne operacje w sferze budżetowej, której wszystkie działy zostały przez kierownictwo rządu wezwane do solidarnych oszczędności, nie każą długo na siebie czekać.

Cięcia w zatrudnieniu, wywołane histerią kryzysową, niepokoją nie tylko bezpośrednio nimi zagrożonych, lecz i rozsądnych ekspertów. Amerykański ekonomista, John Sullivan, ostrzega, że firma, która pozbywa się dużej liczby pracowników na tyle szybko, że o tym huczy, może zepsuć swój wizerunek biznesowy. W ferworze zwalniania łatwo pochwycić cennych specjalistów, których z przymusowego urlopu wykupi konkurencja. Słowem, należy oszczędzać, ale bez zbędnej przesady. Nawet humanitaryzm jest dzisiaj dyktowany przez korporacyjne interesy.

Inne doniesienia z rubryk ekonomicznych w mediach każą oczekiwać wymuszonych kompromisów. W łagodniej nastawionych firmach, pracownikom obciążającym ich budżety odbierze się zamiast całego etatu tylko jego połowę. Ci, uszczęśliwieni, iż nie stracili wszystkiego, zgodzą się bez poważniejszych sprzeciwów na odpowiednio zmniejszone pensje. Niemała to sztuka: tak przedstawić ludziom pozbawienie ich tego, co mieli, żeby je odebrali jako wyświadczone im dobrodziejstwo.

Przejściowe trudności odsłaniają naturę mechanizmów, które

działały i w spokojniejszych okresach. Stare proroctwo przepowiadało, że stolica imperium bizantyjskiego upadnie, gdy szturmujące ją okręty popłyną po lądzie. Tak rzeczywiście się stało w roku 1453. Swoją flotę, która bezskutecznie dobierała się do Konstantynopola z jednego spośród trzech opływających go mórz, sułtan Mehmed II postanowił przerzucić na sąsiedni akwen. Do tego manewru posłużyły bale z drzewa, którymi pokryto wąski przesmyk lądowy. Ostatnim obrońcom Bizancjum to, co oglądali z jego murów, musiało odebrać resztkę nadziei. Sułtańskie okręty, które niewolnicy przeciągali po ruchomych słupach, nadpływały nie wodą, ale właśnie ziemią, żeby ich rozgromić.

W Polsce ostatnich dwóch dekad też dały się zaobserwować dziwne ruchy okrętów. Pływały one jednak nie po stałym gruncie, lecz po bagnie. Do ich eskadr należały instytucje rządowe i pozarządowe, partie polityczne, redakcje, uczelnie, a także banki i firmy. Kto wdrapał się na pokład okrętu, znajdującego się akurat w jego zasięgu, unikał zatonięcia w bagnie. To przykre niebezpieczeństwo mogło – w zależności od położenia i aspiracji – oznaczać zarabianie tylko w granicach średniej krajowej, z którą szła w parze niezdolność do kupienia sobie lokalu mieszkalnego czy samochodu o pożądanym standardzie. A czasami, kojarząc się z bagnem bardziej dosłownie, groziło pochłonięciem przez subkulturę biedy.

Wywalczywszy sobie kawałek miejsca na okręcie, ignorowało się już szersze horyzonty poza jego burtą. W załodze budziła się za to nieograniczona gotowość do spełniania instrukcji oficerów, nie mówiąc już o kapitanie.

Co teraz, kiedy okręty pozbywają się balastu? Spokojna głowa. Fachowcy, którzy chwilowo wystawiają rozpaczliwie głowę z zimnej wody, do której ich strącono, zostaną jakoś wykorzystani. Decydenci mający takich doradców, jak John Sullivan, nie pozwolą im się zmarnować. O tych, którzy utoną, już się nie usłyszy, a więc nie będą nas niepokoić. Okrętowa maszyneria pracuje tym sprawniej, im bardziej trzeszczy w niej

od zakłóceń.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)